ROZMAITOŚCI.

Dnia 23. Sierpnia. N^er^ 34. Roku 1854.

MANELLO MOSCHINI

z francuzkiego p. Antony Méray.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 32. 33. Rozmaitości.)

III.

Wyłudzona Nowenna.

Jakim sposobem matka Giglii niespostrzegła że między jéj córką a mną panuje stosunek miłości, tego sobie nigdy nieumiałem wytłumaczyć. Prawda, że była przyzwyczajona uważać nas za dzieci. Nazywała mnie Manellino albo Nellino. W jéj oczach miałem zawsze pietnaście lat. Patrzała na nasze pieszczoty jak na zabawkę dzieci, a zresztą była przekonana, że jéj powaga macierzyńska zdoła zawsze uchylić podobne igraszki, gdyby w nich upatrywała jakie niebezpieczeństwa.

A potem czyliż żona starego Giannone wiedziała co to miłość. Pomimo pozornéj szczérości i prawie czułego serca, była w istocie kobiétą z zimnem wyrachowaniem, nieprzystępną tkliwszym uczuciom. Mogłaż więc odgadnąć u innych namiętności, których sama nigdy niedoznawała?

Dzięki temu zaślepieniu matki, nieprzestawałem bywać codziennie w jéj domu. Pocieszałem Giglię i starałem się przywrócić jéj dawną wesołość.

Raz Giannone pracował w willi Pamphili, według naszego zwyczaju poszedłem z Giglią po niego. Było-to w końcu Października kilka tygodni przed świętami Adwentu. Poczciwy staruszek pracował około kląbów przytykających do wielkiéj terassy, a my przechadzaliśmy się oboje po szpalerach ogrodu zasłanych już zżółkłém liściem.

— Wiesz kochany Manello rzekła Giglia, te słowa matki, kiedy nam przypominała jakie nadzieje pokłada w moim chrzesnym ojcu, niewychodzą mi z pamięci i zasmucają mnie bardzo.

— Cara mia! Gdyby nie ten wybuch ambicyi twéj matki, niewiedziałbym potąd że mnie kochasz.

— Ah! odrzekła smutnym głosem, i na cóż nam się przyda wiedzieć że możemy z sobą być szczęśliwi, kiedy żelazna wola matki postanowiła nas rozłączyć!

Giglia, kochanie moje, matka niewyrzekła jeszcze stanowczo że nas rozłączy.

— A ten narzeczony, którego mi ma wybrać Monsignor Ettore Testaccio!

— Jak sądzisz, jakich przymiotów wymaga matka po tym narzeczonym?

— Jakich przymiotów? Ona chce, żeby był bogaty.

— Giglietto mia! a gdybym był bogatszym od tamtego któregoby wybrał Monsignore, czy sądzisz, żeby mi matka odmówiła twéj ręki?

— Być może że nie.

— Kiedy tak, moje kochane dziécię, będę bogatym, przyrzekam ci to uroczyście; a co więcéj, będę miał majątek nabyty sławą; mistrz Angelo Volpe tak mi przepowiedział.

— Ah! gdyby to być mogło!

— Słuchaj mnie, duszo moja. Wiész że jestem już najlepszym uczniem starego mistrza; za trzy miesiące wyséła mnie w podróż po Włoszech...

— Jakto! Ty mnie porzucisz? O! nie, Manello mio, ja-bym niemogła przenieść rozstania się z tobą.

— Chciéj mnie wysłuchać do końca, będziesz wiedziała że ta podróż koniecznie potrzebna do zapewnienia naszego szczęścia.

— Jednak ten wyjazd trwogą mnie przejmuje; jakieś smutne mam przeczucie.

— Nietroszcz się droga, to przeczucie jest mylne. Tylko na kilka miesięcy odjeżdżam z Rzymu. Będę zgłębiał arcydzieła w innych stolicach Włoch. Przywiozę rysunki głównych pomników w Pizie, w Florencyi, Wenecyi, cudownych widoków odnogi Neapolu, zatoki Sorrente i Salerno. Oprócz tego zlecił mi mistrz Angelo ażebym mu przywiózł najpiękniejsze wzory konturów i kolorów jakie znajdę w podróży po naszym pięknym kraju. Bo mistrz Angelo Volpe otrzymał z Rosyi bardzo korzystne zlecenia, a gdy powrócę, będziemy spólnie pracować nad tém pięknem dziełem. Widzisz więc kochana Giglio, będę z nim podzielać zyski i sławę z pięknych rzeczy, co je wspólnie utworzymy. Będziemy bogaci!

Widząc mnie ożywionego takiemi nadziejami, Giglia zapominała o swym smutku; słuchała mnie z uśmiechem zaufania i nadziei.

— Wyobraź-no sobie, Giglieto moja, prawiłem daléj, jakie wrażenie zrobi następujące ogłoszenie „w Diario di Roma:“ mistrz Angelo Volpe i Manello Moschini otrzymali zlecenie wykonać wspólnie na stopie zupełnéj równości, najpiękniejsze dzieło mozaiki jakie wypracowano od czasu ukończenia bazyliki Świętego Piotra. Jakiż-to zaszczyt, jaka sława będzie dla mnie widziéć się na równi z moim mistrzem, pracować z nim wspólnie nad dziełem, które doda nowéj świetności naszéj kochanéj ojczyźnie!

— Mój Boże! zawołała Giglia, jakież-to szczęście dla mnie widziéć ciebie uwieńczonego taką sławą!

— Jakże, Giglietto, czyliż jeszcze opierać się będziesz méj podróży?

— Ah! prawda... kiedy inaczéj być niemoże — to i na to przystanę.

Potem zadumała się na długą chwilę. Myśl o rozstaniu się ze mną nie dała jéj być spokojną.

— Więc to za trzy miesiące wyruszyć masz w podróż? zapytała po chwili.

— Tak jest moje dziecko.

Na to ona: Wkrótce nastaje czas, kiedy dudarze przybędą do Rzymu; kiedy koniecznie rozstać się musiemy, oddajmy nasze nadzieje i naszą miłość pod opiekę Madony mojéj familii. W adwencie poproszę matki, niepowierzając jéj naszéj tajemnicy, ażeby kazała dudarzom odprawić nowennę na cześć opiekunki naszego domu. Potem będę już spokojniejsza, mniéj będę płakać w dzień twego odjazdu, z większą pewnością oczekiwać będę twego powrotu.

Ta tkliwa myśl Giglii bardzo mi się podobała: oprócz idei religijnéj było w tém coś naiwnego, skłonić na naszą stronę Matkę Boską i za pośrednictwem saméj Maryi Michelli błagać ją, ażeby nas uwolniła od opieki i protekcyi Monsignora Ettore Testaccio.

Nadeszła zima i pobożni dudarze przybyli do Rzymu. Jakoż w dwa tygodnie po świętach Bożego Narodzenia, Marya, na prośby swéj córki, kazała odprawić nowennę, któręśmy między sobą umówili. Przez cały czas tego nabożeństwa zasełaliśmy Giglia i ja gorące modły do Madony, ażeby wspierała nasze zamysły.

W miarę jak się odprawianie nowenny zbliżało do końca, wracała spokojność i ufność w duszę Giglii. Mnie samemu wydawało się że nigdy nieodprawiono nowenny z większém nabożeństwem; dudarze zdawali mi się pobożniejsi a ich instrumenta dźwięczniejsze niż zazwyczaj.

Wszystko szło pomyślnie do ostatniéj nuty, aż do ostatniéj chwili kiedy skończywszy całe nabożeństwo, dudarze przyszli żądać zapłaty od Maryi Michelli.

Czego się wtedy dopuściła brudota téj kobiéty, trzeba było widzieć by temu uwierzyć; ja sam co od pięciu lat prawie codzień ją widywałem, nigdybym niebył sądził, ażeby była zdolna postąpić tak haniebnie dla miłości pieniędzy.

— Skończyliście nowennę? zapytała dudarzów.

— Tak jest, odpowiedzieli biédacy.

— Graliście dziewięć razy jak się należało?

— Sicuro!

— Więc Madona ze mnie kontenta?

— Sicuro!

— Kiedy tak, to idźcie sobie precz.

Poczciwi pasterze niemogli tego pojąć. Ale jeden z pomiędzy nich, widać najdowcipniejszy i znający się na żartach, rzekł nieśmiało:

— Padrona chce się bawić?

— Ja nieżartuję wcale, moi przyjaciele, odpowiedziała Marya Michelli; możecie sobie iść.

— A nasza zapłata?.. signora zapomniała że nam niedała jeszcze ani jednego bajoka.

— Ja nic niezapomniałam; chciałam tylko żeby Madona była kontenta ze mnie, a ona kontenta, jak sami mówicie, o więcéj niedbam.

— Padrona żartuje, rzekł mniéj spokojnie najstarszy dudarz; prosimy o zapłatę!

— Trzeba było zażądać jéj z góry; teraz kiedy Madona i bez tego mi sprzyja, niezapłacę wam ani bajoka.

To rzekłszy, zatrzasnęła gwałtownie drzwi za biédnymi osłupiałymi muzykantami. Ci jednak niedali się tak łatwo od-

prawić. Widząc że gospodyni domu nieżartuje, zaczęli przeklinać, krzyczeć i grozili że drzwi wyłomią.

Marya, która usiadła przy oknie, skinęła na przechodzących dwóch żołnierzy z gwardyi szwajcarskiéj i wezwała ich na pomoc. Żołnierze weszli niedając się prosić, i widząc że się górale zabierają do tak podejźrzanego dzieła, wyrzucili ich z domu niesłuchając ich usprawiedliwienia w narzeczu dla nich zupełnie niezrozumiałém.

Giglię i mnie zmieszała strasznie ta niesłychana niesłuszność. W moich szczególnie oczach wydał się ten ohydny czyn prawdziwém świętokradztwem. Mogłaż Madona przyjąć ofiarę skażoną tak niegodziwym uczynkiem? Na każdy sposób byłbym chętnie ofiarował cały miesiąc mojéj pracy, ażeby cofnąć tę nieszczęsną nowennę, i przywrócić rzeczy do dawnego stanu.

Tymczasem zbliżała się chwila mego odjazdu. Czyliż potrzebuję powiadać, że pomimo ważności celu méj podróży, pomimo że oddalenie moje tylko krótko trwać miało i pomimo pięknych nadziei powrotu, pożegnanie nasze było bardzo rzewne. Było-to piérwsze rozstanie od czasu naszego spotkania się na ulicy Mario-di-Fiori.

Giglia i jéj ojciec odprowadzili mnie na miejsce odjazdu. Giannone wiedział o naszéj tajemnicy; przyrzekł nam swoją protekcyę: biédny człowiek! niemało i tak miał trudności sam oprzeć się wymaganiom swéj żony. Płakaliśmy rzewnie, a usta nasze powtarzały bez ustanku przysięgę niezłomnéj miłości.

Nakoniec *vetturino* zaciął konie, a ja straciłem z oczu moją rozpaczającą Giglię.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DWA DWORY.

Powieść przez * (z Biblioteki Warszawskiéj.)**

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 30. 32. 33. Rozmaitości.)

V.

Dworek w Wólce.

W małéj komnacie przy stoliku siedzi Stanisław i pali cygaro; naprzeciw niego rozparty pan Adolf wwygodnym fotelu; przed nim butelka szampańskiego wina. Przy kominku stoi pan Michał z fajką w ustach.

Pan Michał *(uśmiechając się.)*

Owóż żywiebóg do swoich śmieci
Zakołatało serce Waszeci;
Niech ptastwo buja sobie do licha,
Człeku najmilsza zagroda cicha!
Rzecz ci wiadoma, że to bez prace
Trudno spożywać smaczne kołace;
A i pieczone pono gołąbki
Nie spadną z góry same do gąbki
Wreszcie jam stary: starość nie radość,
Trudnoż wszystkiemu uczynić zadość.
Toż nie dziwota, że źle się dzieje:
Dobytek jakoś zwolna marnieje,
Pola nie rodzą jako przed laty.
Przestań bruk miejski gładzić zakaty!
Wszakci podobno idzie rok piąty
Jakeś domowe porzucił kąty

I..w świat pojechał, aby wśród tłumu
Obcego w głowę schwycić rozumu.
Dziwnoż ci oto jagody zbladły,
Zmarszczki przed czasem na czole siadły.
Oko zapadło: znać, że nie płuży
Miejskie powietrze. Toć nie goń dłużéj
Wiatru po stepie, lecz jak przystało,
Obejmij twoję dziedzinę małą:
Bo niedaremnie przysłowie uczy:
Że oko pańskie konia utuczy.

Stanisław.

Nie żartuj próżno, wuju mój drogi,
Wszak pełne ziarna spichrze i brogi,
Na łanach nowe faluje zboże,
Stadnina dzielna, bydełko boże,
Zapasy doma, a w rzece ryba:
Ptasiego chleba braknie tu chyba.
Czegoż chcesz więcéj?

Pan Michał *(pokręcając wąsa.)*

Wszystkoć z kretesem nie jest stracone;
Ale „im człowiek w las idzie daléj,
Więcéj drew spotka" ojce mawiali!
Wszak rządem stoją domy i kraje:
To też szanować stare zwyczaje
Trzeba zakaty! Niegdyś pachole
Poduczywszy się łaciny w szkole,
Jeżeli jaka przyszła potrzeba,
Biegło na harce; a gdy kęs chleba
Był z pracy ojców: to wnet po wojnie
Młodzian zasiadał doma spokojnie,
I rad się wiązał małżeńskiém stadłem.

Pan Adolf *(naléwa sobie wina, pije, a potem mówi:)*

Brawo! z piérwszego słowa odgadłem,
Do czego zmierza cała ta mowa:
Żeń się Stasieńku! Tak, ani słowa!
Weź się do roli, zasiewaj grykę,
Wprowadźże sobie w dom dobrodziejkę;
Komu spokojność próżnym ciężarem,
Niechaj się miłym otoczy gwarem.
Jakaż-to rozkosz siąść przy ognisku:
Głowa na dwoje pęka od pisku,
Dziateczki krzyczą, żona się krzywi,
A świat powiada: jacy szczęśliwi!

Tak! małżonkowie szczęśliwi młodzi!
Pani na balach wszędy réj wodzi,
Świat jéj uwielbia dziwne zalety:
O! to doprawdy perła kobiéty,
Każdy wié o tém; tylko nieboże
Mąż swego szczęścia pojąć nie może.
Jakże ma pojąć, kiedy dla świata
Pani w zalety tylko bogata.
A gdy po balu wraca do domu,
Skoro się nie ma powdzięczyć komu,
Maskę ułudną zdejmuje z twarzy,
Dziwnie znudzona, duma i marzy.
Wreszcie czując się nie dość pojętą,
Łamie bez względu przysięgę świętą.
A świat małżonka za żony winy,
Gotów potępić każdéj godziny:
Jeśli pierzchliwa, alboli płocha,
On winien, bo ją niedosyć kocha;
Jeżeli słaba, każdy wraz powie,
Że mąż niewiele dba o jéj zdrowie;
Gdy w domu nieład, świat go obwini:
Że skąpiec, sknera. Co bądź uczyni,
Wszystko biédnemu idzie na szkodę.
O! bo umieją na młyn swój wodę
Obracać dzisiaj wszystkie kobiéty.
Bóg dar wymowy dał im niestety,
Trzebaż go użyć!

(Naléwa kielich.)

No Stasiu drogi,
Niech żyją święte domowe progi!
Trąćmy kieliszki!

(Pije.)

Stanisław.

Wiész, że nie piję.

Pan Michał *(do siebie.)*

Radbym w proch zdeptał nikczemną żmiję,
Co wszystko święte chce zbluzgać jadem.

(Głośno do Stanisława.)

Nie gardź mój synu ojców przykładem:
Żyj jako oni przed laty żyli!

Adolf.

Pij, jako twoje naddziady pili!
Wiwat! niech w późne lata prawnuki
Zechcą korzystać z ojców nauki.

(Piją.)

Pan Michał.

Tfu! do szatana! Mój panie młody,
Miały swe *ale* wszystkie narody,
Bo doskonałość Boga udziałem:
Człek duchem silny, lecz słaby ciałem,
Lgnie więc ku złemu, jak na lep mucha,
Kiedy mu szatan szepnie do ucha.
Bóg nam już stare policzył grzechy,
Co je znieważać głupiemi śmiechy?
Oneć nie wrócą: jako w dolinie
Potok już nigdy wstecz nie popłynie.
Niedarmo Noe Chamowe plemię
Przeklął! toż dźwiga niedoli brzemię,
Za urąganie błędom rodzica.
Zawdy znachodzi ludzka źrenica
Źdźbło w oku drugich, gdy w swém nie może
Dopatrzyć belki: toć mocny Boże,
Gorsze dziś błędy toczą was pono,
Nad owę chętkę nieposkromioną,
Z jaką się ojce jęli kielicha!
Brzegi podobno rwie woda cicha,
A ojce głośno pili miód stary,
Radzi trącali czary o czary.
Szlachta się dzbanem raczyła piwa,
Ale podnieta była poczciwa!
Człek rad był oddać serca połowę,
Toż po przyjaźni zakrapiał głowę;
Lecz odurzenia nie szukał w winie,
Jak to w obecnéj czynią godzinie!
Bo po co było durzyć się przecie,
Gdy był w sumieniu czysty jak dziécię.
A dziś do trunku zkąd chętka taka?
Ot piją, aby zalać robaka,
Co się w pierś wgryza i serce toczy.
O! czemuż moje widzą to oczy!

(Ociera łzę.)

Adolf.

I moje niby mgła kryje blada,
Powieka jakoś sama się składa;
Zdrzymnę się, kiedy sen oczy klei.
Obiad, butelka i sen z kolei,
To mi zaprawdę wiejska uciecha,

(Naléwa i pije.)

Wiwat! niech żyje gościnna strzecha!

(Rzuca się na kanapę i zasypia. Chwila milczenia.)

Pan Michał *(patrząc na Adolfa z założonemi rękoma.)*

Podły nikczemnik! licha gadzina!
Zatop co rychléj w szklanicy wina
Resztę rozumu, byś zgubnym jadem
Nie zganiał braciom nad czołem bladém
Anioła, co im stróżuje zcicha.
Gdzie gad przypełznie, trawa usycha!

(Do Stanisława.

Owoż zgaduję, czemu tęsknota
Znaczy twe lica: — Bóg strzegł od błota
Zacne twe serce. Pokrzepion wiarą
Chowasz w niém na dnie poczciwość starą.
Jednak wiejące z zewnątrz zwątpienie,
Świat Boży w mroczne otacza cienie.
Źle miły Stasiu! niegdyś ojcowie,
Co mieli w myśli, jawili w słowie:
Otwartość była świętą ich cechą,
Każdy się dzielił bolem, pociechą,
A serca bratnie były gotowe
Przyjmować zawdy bolu połowę.
Lżéj się więc snuło życia przędziwo,
Gdy człek miał w pomoc rękę życzliwą.
Dziś każdy równo: w doli czy biédzie,
Zdala od drugich samopas idzie.
Toż nie dziwota, że brzemię krzyża
Bezsilne barki ku ziemi zniża,
Zamiast je dźwigać do góry stale.
Szatan zwątpieniem, żywota szalę
Chyli ku złemu; on wam rozumy
Omotał grzesznym obłędem dumy,
Mgłą samolubstwa osnuł was wkoło:
Możeż wam żywot bieżyć wesoło,
Jak starym ojcom zbiegał przed laty?!

Stanisław.

Trudno już owéj wetować straty!
Któżby nie pragnął niebieską wiarą
Napełnić serce, a życia czarą
Dzielić się z drugim! Lecz temu biada,
Kto rękę w rękę z ufnością składa,
A owa ręka pchnie go w bezdroże!
Kto dziś niewieście zaufać może?
Gdy próżność, niby robactwo liche,
Toczy jéj serce i dolę cichę,

Co spromieniała prababek życie,
Zatrutym kałem plugawi skrycie!

Pan Michał.

Nie wszystkie takie niewiasty pono;
Są, co wciąż snują nić nieskażoną
Jak te matrony, co pełne siły
Wiarą małżonków serca krzepiły.

Stanisław.

O! i jam ufał, że znajdę jeszcze
Taką dziewicę; i mnie sny wieszcze
Szeptały o niéj. Jam ją w marzeniu
Ujżrzał na ziemi! Jak anioł w cieniu
Ona przewiała nad moją głową!
Jéj to niewinne a święte słowo
Zbudziło we mnie sennego ducha;
Z nią mi spłynęła z niebios otucha.
Owiany tchnieniem mego anioła
Jąłem się pracy, i w pocie czoła
Pnąc się przez szczeble owéj drabiny,
Która wciąż ludzkie przechodzą syny
Śladem Jakóba; darłem się w górę.
A cicha gwiazda, przez mgły ponure
Lśniła promieniem złudnym nadziei,
Wśród ciężkich życia burz i zawiei!
Przy jéj połysku, jak sokół młody,
Do zdroju żywéj pobiegłem wody,
I pokrzepiłem pierś uznojoną.
A oko moje za mgły osłoną
Dojżrzało cuda, o jakich ludzie
Zaledwie w sennéj marzą ułudzie.
I zrozumiałem zaklęte słowo,
Które nad ziemią szepczą jałową
Anieli z nieba; i w piersi własnéj
Czułem z rozkoszą, jak w płomień jasny
Owa się iskra rozżarza wreszcie,
Którą zatliły dłonie niewieście
Drogiéj méj matki, gdy nad kołyską
Pieśń pod tą strzechą spiewała nizką.
O! jam zawierzył, że także tony
Téj pieśni świętéj a nieskażonéj,
Głos mi dospiewa czystéj dziewicy;
Długom w milczeniu i tajemnicy
Chronił uczucie przed ludzkiém okiem;
W tém moja gwiazda zaszła obłokiem:
O! toż mi ciemno na bożym świecie!

Pan Michał.

Żal mi cię szczerze! Owoż-to dziecię,
Są inne gwiazdy jeszcze na niebie,
Co Bóg je właśnie chowa dla ciebie!

Stanisław *(z zapałem.)*

O tak! zaprawdę świeci ich siła!
Choć się więc moja gwiazda zaćmiła,
Ja nie rozpaczam, czując jak w myśli
Coraz to szersze koło się kryśli!
O! chwilę jeszcze, a Bóg pozwoli,
Że już o własnéj niebacząc doli,
Zgodzę się z wiarą, że żyć mi trzeba
Jeno dla prawdy, jeno dla nieba.

Pan Michał.

Bóg nie wypuści nigdy z opieki
Tych, co ufają! Toż bracie młody
Wróć do rodzinnéj twojéj zagrody.
Dość zaczerpnąłeś mądrości świata;
Siądź pod tą lipą, co mnogie lata
Słoni twych ojców strzechę ubogą.
Tu Bóg ci wróci otuchę błogą,
Tu gdy użyjesz wczasu po pracy,
W polu pieśń tobie zanucą ptacy,
A szum dąbrowy wiatr ci przyniesie:
I będziesz spiewał, jak w Czarnolesie
Spiewał przed laty Jan nieśmiertelny!
Powiew rodzinny, czerstwy a dzielny,
W piersi twéj płomień rozżarzy snadno;
Tu zdradne żmije cię nie owładną,
I wszelka z serca ustąpi trwoga.
I lepiéj bracie pokochasz Boga,
I dobrych ludzi uczcisz prostotą;
A Bóg ci może znów gwiazdę złotą
Zatli na niebie w wieczornym mroku.

Stanisław.

Ona nie błyśnie już memu oku!
Lecz chęciom twoim stanie się gwoli,
Zacny mój wuju. Może powoli
Czas ukołysze zcicha me rany,
I wróci duszy spokój nieznany.
A duchy ojców płynąc w milczeniu
Nad ową strzechą, po gwiazd promieniu,

Wskażą méj myśli nowe obszary,
Skrzepią zwątpiałą u zdroju wiary;
Aż wyzwolona, orlemi loty
Wzleci nad ziemskie burze i słoty.

Pan Michał.

O! wierz mi synu, z własnego proga
Najsnadniéj człeku trafić do Boga!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

SKRZYPKI

Stanisława Jachowicza.

Héj, skrzypeczki, skrzypeczki,
Lubię wasze piosneczki,
Tak spiewacie jak żywe,
Piosnki wdzięczne i tkliwe.

Jak się głośno ozwiecie,
To aż raźniéj na świecie,
Moje skrzypki kochane!
Ja tu z wami zostanę.

Bracia! dajcie skrzypeczki,
Nauczę was piosneczki,
Co mi Mama spiewała,
Kiedy skrzypki dawała:

„Kochaj skrzypki, dziecino!
Miłe dźwięki z nich płyną,
Kochaj sercem i duszą,
Skrzypki smutek zagłuszą.

„Gdyś wesoły, skrzypeczki
Wtórzyć będą piosneczki;
A będzie ich bez liku;
Graj i spiewaj chłopczyku.

„Gdy cię troski osiędą,
Skrzypki łezkę dobędą;
Jak zagrają ci ładnie,
Smutek z serca opadnie.“

BREVE OJCA ŚWIETFGO PIUSA IX.

Do
Ukochanego syna Walerego Wielogłowskiego
W Krakowie.

PIUS P. P. IX.

Ukochany Synu! Pozdrowienie i Apostolskie błogosławieństwo!

W listach twoich II Nonas i VIII Idus najbliższego Stycznia do Nas przesłanych, poznaliśmy najżywszą staranność którą pałasz w obronie świętéj religii i katolickiéj nauki i w walczeniu za nią. Przytem najmiléj znaleźliśmy najwyższéj powagi zdania niektórych Biskupów owéj krainy, którzy tę staranność jako najpożyteczniejszą katolickiéj sprawie w tych stronach ogłosili. Nie wątpiemy oraz bynajmniéj, iż egzemplarze dzieł tych które twym drukiem wydane w darze nam przesłać raczyłeś, których atoli jeszcze nie mogliśmy czytać, wielce pobożnemu celowi jaki sobie wytknąłeś, właściwie odpowiadają, osobliwie, gdy jednomyślnemi głosami Biskupi je pochwalili. Przeto postępuj daléj ukochany synu w wydawaniu i rozpowszechnianiu książek dla powszechnéj korzyści prawdy i religii, przez któreby w tym szczególniéj czasie wierni tamże błędów się strzegli i Skarb Wiary nienaruszenie zachowali. Boga więc Wszechmogącego błagamy, aby łaskawie wspierał twe usiłowania; w upominku zaś Ojcowskiéj naszéj ku tobie miłości, masz, jako tejże Boskiéj pomocy rękojmią, Apostolskie błogosławieństwo, które tobie ukochany synu, przy wylaniu uczuć serca przychylnie udzielamy.

Dan w Rzymie u świet. Piotra dnia 17. Maja roku 1854. papiestwa naszego roku VIII.

(własnoręcznie podpisano przez Jego Świętobliwość)

Pius P. P. IX.

(Tekst oryginalny łaciński.)

Dilecto Filio Valerio de Wielogłowski
Cracoviam.

PIUS P. P. IX.

Dilecte fili salutem et Apostolicam benedictionem. In tuis ad Nos Litteris II Nonas ac VIII Idus Januarii proximi datis, summum, quo ferves, pro Sanctissima religione et catholica doctrina tuenda, ac propugnanda novimus studium, unaque maximae auctoritatis judicia libentissime invenimus quorumdam regionis istius Episcoporum, qui studium ipsum Catholicae rei istic utilissimum praedicarunt. Haud profecto dubitamus: quin eorum operum-exemplaria, quae typis tuis edita ad Nos dono mittere voluisti, quaeque porro legere adhuc non potuimus piissimo quem Tibi proposuisti scopo apprime non respondeant; quum praesertim unanimi illa suffragio Episcopi ipsi laudaverint. Propterea perge, Dilecte Fili, in commune veritatis ac religionis commodum libros edere et evulgare, quibus, hoc maxime tempore, fideles istic ab erroribus caveant, ac depositum fidei intemerate custodiant. Omnipotentem Dominum idcirco obsecramus, ut Tuis propitius adsit conatibus, ac paternae in Te Nostrae caritatis pignus, ejusdemque divini praesidii auspicem habeto Apostolicam Benedictionem, quam Tibi ipsi Dilecte fili, effuso cordis affectu amanter impertimur.

Datum Romae apud S. Petrum die 17. Maji Anni 1854.

Pontificatus Nostri Anno VIII.

Pius P. P. IX.

Główny Redaktor M. Szrzeniawa Sartyni.

Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.